

CZERWONA ROŻA

Nr. 12/13

WARSZAWA, 1 SIERPIEŃ — 1939 R.

ROK II (VII)

T R E Ś Ć: WYWIAD Z MIN. JULIUSZEM ULRYCHEM • Bolesław Wasylewski — NIC BEZ NAS O EUROPIE! • Tadeusz Lutosławski — RÓŻNI BYWAJĄ PRZYJACIELE POLSKI • Witold Iphorski-Lenkiewicz — AKADEMICKA WOJNA DOMOWA • W. L. — KRUCJATA ŁAMANEGO KRZYŻA • NASZE PROJEKTY: Projekt ustawy o ochronie znaku Krzyża św. • REFLEKSJE I UWAGI: Pan Zablocki, Duce i oś — Cezar i Tuwim — Hej sowy, kruki, puhać! — Nowy symbol III Rzeszy — Najgłupszy naród na świecie • B. W. — LITERATURA I TORNISTER • CO INNI PISZĄ: O „pseudoimperializmie” • ZWYCIĘSTWO RADIA • NA SMUTNO I NA WESOŁO: Próba pod adresem Reichspropagandy — Cierpliwy kanclerz • MIĘDZY WIERSZAMI: Historyczny karabin maszynowy — Husyci i Chasydzi i in.

ŚWIADOMIE I BEZ PRZYMUSU

Wywiad z min. Juliuszem Ulrychem

Komendantem Naczelnym Związku Legionistów Polskich

P. Minister Juliusz Ulrych, Komendant Naczelny Związku Legionistów Polskich udzielił Redaktorowi naszego pisma następującego wywiadu:

Panie Ministrze! Dzień 6 sierpnia r. b. jest dniem srebrnego jubileuszu Legionów. Zrozumieliśmy więc jest urządzenie w tym dniu uroczystego obchodu i zjazdu w Krakowie. Czy jednak zjazd ten nie posiada pewnego szczególnego znaczenia politycznego?

— Proszę Pana! Znaczenie zjazdu sierpniowego nie leży w aktualno-politycznej płaszczyźnie. Jego znaczenie jest głębsze i szersze. Jest to przede wszystkim dzień triumfu tych zasad, których wyrazem był wymarsz Pierwszej Kompanii Kadrowej, a przed tym — praca przygotowawcza w Związkach i Drużynach Strzeleckich.

W ciągu ubiegłych lat 25 odbywała się nieustanna konfrontacja zasad Józefa Piłsudskiego z życiem, odbywała się ogniowa próba ich słuszności i celowości. W roku bieżącym w Krakowie chcemy stwierdzić dobitnie, że zasady te były słuszne, że zdały egzamin i że zdobyły dziś całe społeczeństwo polskie.

Wiemy jednak, Panie Ministrze, że istnieją dotąd w Polsce obozy polityczne, odnoszące się krytycznie do czynu 6 sierpnia.

— Proszę Pana! To wszystko jest w znacznej mierze nieporozumieniem i fikcją! Większość polityków, zabierających dziś głos w sprawach zewnętrznych Polski, przemawia świadomie lub nieświadomie językiem Józefa Piłsudskiego! Językiem tym przemawiają częstokroć nawet ci, co uważają się za zacietych przeciwników Piłsudskiego i Jego Obozu. Nasze bowiem poglądy w sprawach najistotniejszych nie uległy zmianie, natomiast ich poglądy przeszły ewolucję zastanawiającą.

Użyję tutaj pewnego porównania. Jeśli zestawimy rozkazy Józefa Piłsudskiego z okresu walk legionowych z głośnymi oświadczeniami dzisiejszych kierowników nawy państwowej, uderzyć nas musi, że utrzymane są one jakgdyby w jednej tonacji. Jednaita sama dominująca nuta przebiega i w tamtych rozkazach sprzed lat dwudziestu kilku i we współczesnych nam wypowiedziach, które wywołują taki entuzjazm w społeczeństwie polskim.

I tu i tam przebiega jednakowe podejście do zjawisk życia, jednakowa i niezmienna wierność pewnym zasadom. Czy muszę precyzować, że te zasady — to dumna niezależność, czynna postawa wobec życia, wiara we własne siły i kult imponderabiliów, cenniejszych od życia? Wyczuwa się wyraźnie, że jest to jednaita sama szkoła myślenia politycznego o nieprzerwanej ciągłości i ugruntowanych już głęboko tradycjach.

Tymczasem, jeśli porównać dzisiejsze wypowiedzi niektórych polityków opozycyjnych, np. w sprawie niebezpieczeństwa agresji z tym, co ci sami ludzie, względnie ich mistrzowie, mówili dwadzieścia pięć lat temu — różnica podejścia jest wprost uderzająca. Cóż to za olbrzymi skok od ideologii bezniałości, od kompleksu niższości, od pokładania wiary w pomocy obcych do języka godnego wielkiego narodu!

Szkoła Józefa Piłsudskiego narzuciła Narodowi pewien styl, pewną wysoką klasę myślenia politycznego i do tego stylu dostosowywać się muszą dziś wszyscy, którzy chcą mieć jakikolwiek mir w społeczeństwie. Szkoła polityczna Piłsudskiego zdobyła dziś cały Naród. Językiem tej szkoły przemawiać dziś muszą nawet jej oficjalni przeciwnicy, jeśli nie chcą być wyrzuceni poza nawias życia. Czyż może więc istnieć większy triumf moralny? Czy może istnieć większa satysfakcja i większa nagroda dla tych, którzy przed 25 laty wiernie przy Komendancie stanęli, a którym los nie oszczędził największego z cierni, jakim jest niezrozumienie przez własne społeczeństwo?

Czy nie jest to jednak paradoksalne, Panie Ministrze, że ludzie, którzy są już de facto Piłsudczykami z ducha, często nie zdają sobie z tego sprawy i nawet zwalczają Obóz Marszałka?

— Bez wątpienia jest to paradoks i stan nienormalny. Ale takich paradoksów jest w życiu naszym więcej. Niech Pan zwróci jednak uwagę, że cechą charakterystyczną prac Józefa Piłsudskiego była zawsze bezpośredniość działania na rzecz społeczeństwa lub Państwa. Józef Piłsudski dążył stale do wyeliminowania zbędnych trans-

misyj i kółek, utrudniających pracę publiczną. Nie stawiał On nigdy sprawy w ten sposób: przez pomyślność mojego stronnictwa do pomyślności Polski. Naprzeciwko siebie stali zawsze bezpośrednio: Józef Piłsudski ze swą kadra — i Naród. Jeśli więc działalność tej kadry przynosiła Narodowi pożytek, jeśli głoszone przez nią hasła przenikały do społeczeństwa i stawały się własnością ogółu — Wielki Marszałek uważał, że wszystko jest w porządku. Tym się tłumaczy w znacznej mierze paradoks, o którym Pan wspominał.

Jeszcze jedno pytanie, Panie Ministrze. W prasie polskiej daly się słyszeć głosy, że zjazd w Krakowie ma być czymś w rodzaju tych głośnych współczesnych zjazdów masowych, odbywających się w niektórych krajach. Czy ta opinia odpowiada rzeczywistości?

— Na zjazdach tego rodzaju nie byłem i dlatego na ten temat nie mogę powiedzieć nic miarodajnego. Wydaje mi się

jednak, że różnice są zasadnicze. Te wielkie masowe manifestacje, o których Pan wspominał, polegają, o ile mi wiadomo, na zjeździe formacji, specjalnie w tym celu mobilizowanych. Tymczasem u nas o żadnej mobilizacji, o żadnym rozkazie nie może być mowy. Na zjazd, oprócz legionistów i peowiaków przyjął wyłącznie ci, którzy solidaryzują się z nami z własnego przekonania i z wolnej i nieprzymuszonej woli. Na tym właśnie polega nasz triumf moralny, że idee Komendanta podbiły społeczeństwo bez przymusu i bez rozkazu. Przed 25 laty byliśmy przeciw dośłownie garstką, a dzisiaj zadeklarowały swój przyjazd do Krakowa wielotysięczne rzesze, a sercem będą z nami w tym dniu miliony.

Polska współczesna wkroczyła na ślask Józefa Piłsudskiego świadomości i bez przymusu, i ten czynnik świadomości — co się Józefowi Piłsudskiemu zawdzięcza — będzie z roku na rok potęgował się i wzrastał.

NIC BEZ NAS—O EUROPIE!

CZŁOWIEKU, NIE DENERWUJ SIĘ!

W Niemczech była swojego czasu bardzo popularna pewna niewinna gra towarzyska. Grający zaopatrywali się poprostu w niedużą mapkę, kubek z kośćmi i trochę pionków. Zależnie od rzutu kostką pionki posuwały się naprzód (lub cofały) dążąc do osiągnięcia oznaczonej mety. Regulamin tej gry przewidywał jednak niespodzianki. Z osiągnięciem niektórych etapów związana była mianowicie „premia”: szczęśliwy gracz posuwał się dodatkowo o parę etapów naprzód. Gdy jednak zachęcono powodzeniem natrafiał np. na etap nr. 13. — stop! zdobyte jego zostawały unieważnione i musiał cofnąć się z powrotem do... zera. Na dobitkę — posuwał jeszcze naprzód własnego przeciwnika o ileś tam „karnych” punktów. Zirytowanemu graczowi pokazywało się wtedy tabliczkę z napisem: „Mensch, ärgerte dich nicht!”. (Człowieku, nie denerwuj się!).

Jeśli gra ta przychodzi nam dziś na myśl, to dlatego, że tabliczka taka wydaje się dziś bardzo aktualna. Chciałoby się gwałtownie pokazać ją komuś, kto do niedawna skałał bez przeszkód po mapie, póki nie natrafił na etap, z którego trzeba się cofnąć. Chciałoby się przypomnieć mu ową grę. Trudno bowiem o lepszą dla niej ilustrację niż ta, co się dzieje obecnie w świecie. Ktoś cofa się, ktoś inny idzie *dzięki temu* naprzód. Ktoś kłnie pod nosem, jak sam kanclerz Bismarck, (który był — jak wiadomo — autorem najdłuższego przekleństwa niemieckiego: Himelkreuzmilionenondonnerwetter!), a ktoś mówi mu spokojnie: „Mensch, ärgerte dich nicht!”. I zgodnie z regulaminem gry — *maszeruje dalej*.

„WOJNA GDANSKA” — WYGRANA!

Wydaje się, że czas już dziś stwierdzić, że cała historia z autostradą i Gdańskiem, tak niepoważnie rozpoczęta dała już dziś bardzo poważne skutki. Poprostu — jak w owej grze. Gdy jedna strona zademonstrowała już odwrót, druga ma okazję do niedających się przewidzieć awansów. I gdyby dziś owe historyczne już propozycje uległy nawet unieważnieniu, status quo nie dałby się już przywrócić. Taka jest bowiem natura nowowynalezionej „wojny nerwów”. Gdy sama walka rozgrywa się niewidocznie, w sferze niematerialnej, wyniki są zgola namacalne i konkretne.

Zwycięstwa wojny psychicznej nie ustępują już dziś w niczym zwycięstwom, o które wylano morze krwi. Za przykład może już tu służyć nie tylko Wiedeń i nie tylko swastyka na

Hradczynie. Za przykład może już dziś służyć także Gdańsk. Czy nie należałoby właściwie stwierdzić, że Gdańsk jest nowym *zakończonym etapem* tej „wielkiej wojny” moralnej, która od roku rozgorzała nad światem? Z tą tylko różnicą, że tym razem efekt jest inny. Tym razem napastnik przegrał smrotnie i z kresesem.

Czy nie należałoby już wobec tego właściwie ogłosić uroczystości, że nastąpił koniec tej wojny? Ze nie padnie już ani jeden strzał... propagandowy, że nie wybuchnie ani jedna bomba... „potencjalna”? Bo gdyby nawet tak się działo, to należałoby się obawiać, że wybuchom tym towarzyszyłyby ze strony przeciwniej już tylko... *wybuchy śmiechu*. A wiadomo, że śmiech jest w tym wypadku najlepszym obrońcą. Albowiem, jak wiadomo, śmiech — *rozbraja*.

I to jest właśnie istota „zwycięstwa gdańskiego”. Wróg przestał być groźny w wojnie tego typu, zademonstrował odwrót, przegrał. Teraz może już zacząć tylko... *strzelać na prawdę*. Ale — jak dotychczas — nie strzela. Ten fakt wart jest także zanotowania. A gdyby nawet zaczął, to prawdopodobnie od tego momentu przyszli historycy zaczęliby obliczać nowy etap w dziejach świata. Ale to już byłaby całkiem inna sprawa.

I ARMATY I MASŁO!

Na razie zaś jesteśmy świadkami „zwycięstwa gdańskiego”. Zwycięstwa realnego i definitywnego, aczkolwiek odniesionego metodą psychiczną. Jest to zatem niewątpliwie koniec gry wojennej. Gry, w której jedna strona straciła wszystkie swe atuty, a druga zyskała *nieoczekiwanie* dużo.

Rozmiary zwycięstwa gdańskiego łatwo ocenić, gdy się porówna kraj nasz z przed trzech miesięcy a dziś. Weźmy tylko pod uwagę nasz potencjał militarny. Sprawa gdańska postawiła nas na nogi, uzbroiła aż po zęby. Nie utraciliśmy w tej wojnie nic z tych walorów, przeciwnie — zwiększyliśmy je parokrotnie. Otoczeni gestym druciem zasieków, okopami, ufortyfikowani czuwamy z bronią u nogi, wszyscy — jak jeden mąż — rozochoceni do wszelkiej przygody wojennej, jaką losowi podoba się nam zgotować.

Wzrost zamiłowań militarnych w społeczeństwie jest niezaprzeczony. W wszystkich warstwach i klasach na słowo: „bić napastnika!” — na twarzach pojawia się nie wyraz ponury, jak u sąsiadów, ale szeroki i zadowolony uśmiech. Zrobiliśmy wiel-

ki wysiłek militarny. Czyż zabrakło nam przez to chleba i masła, czyż zabrakło rąk roboczych, czyż zamajaczyły potworne widma „czterech jeźdźców Apokalipsy”? Nie, na kraj nie padła żadna żałoba, ani cień smutku. Nie dostrzegamy cienia zamieszania. Praca idzie normalnym, równym torem, jeszcze lepiej, jeszcze intensywniej, niż przedtem.

HUMOR I PRACA

Nie są to puste słowa. Wystarczy skontrolować nasz sezon budowlany w miastach i miasteczkach, nasze kampanie rolne w polu. Gong wojenny nie oderwał nas od zwykłej pracy budowlanej. Przeciwnie — przyspieszył ją, zintensyfikował i — doprawdy — rzadko kiedy hasło „dźwignia Polski wzwyż” spotykało się z równie gorącym przyjęciem, co dzisiaj.

W rezultacie — jesteśmy dziś silniejsi, pracowitsi, lepiej uzbrojeni i w dodatku w lepszych humorach niż przed pół rokiem. Oto jest jedna „pozytywna strona „próbby gdańskiej”. Ale nie koniec na tym.

Stawiając nas przed tą próbą wódz Niemiec oddał nam niezamierzoną i niespodziewaną przysługę w innej dziedzinie. Posługując się sienkiewiczowską przenośną możnaby stwierdzić, że „okręt, który zwał się Purpura”, wypłynął z wąskiej zatoki Bałtyku na szerokie oceany. W jednym błyskawicznym momencie dokonała się wspaniała metamorfoza. Z państwa stawianego przez zagranicę z uporem w rzędzie szarych powojennych tworów przeobraziłyśmy się w jej oczach w naród-przewodnika, któremu powierzone zostały z całym spokojem losy Europy.

Dziś mówi się o nas i pisze z zachodnio-europejską emfazą jako o „kluczu Europy”, jako o „strażnikach Europy”. Na porządku dziennym są dziś w lokalach paryskich, w brytyjskich „roomach” okrzyki, że „Europa może spać spokojnie, albowiem bohaterki naród polski jest uzbrojony i silny”. Czyż nie paradą jest ta zmiana nastrojów wobec nas, gdy się zważa, że przecież my nie podlegliśmy w tym czasie żadnym radykalnym przeobrażeniom, że prosto już od szeregu lat myślimy i działamy w ten sam sposób, co dziś. „Pomyłka Europy” wobec nas z lat ubiegłych jaskrawo się przez to uwidatniała. Dlatego zapewne prawda o nas stała się taką rewelacją, spowodowała takie olśnienie. Ale lepiej późno niż nigdy.

KONFEDERACI BARSCY I HAZARD WSPÓŁCZESNY

W czym tkwi tajemnica tej zmiany nastrojów społeczeństw zachodnio europejskich? Czy naprawdę ludzie zachodu zapragnęli nagle „umierać za Gdańsk”, umierać za nieznanne „prowinjonalne” miasto? I to właściwie ci, którzy nie chcieli niedawno umierać za całe ginące narody i państwa?

Dalecy jesteśmy pod tym względem od jakichkolwiek wątpliwości. Jedno jest jednak pewne. W rzędzie tych, którzy „chcą umierać” opinia zachodu stawia dziś przede wszystkim — Polaków. I słusznie. A czy właśnie to, czy nie to wyjaśnia tajemnicę zapalu wojennego na Zachodzie, to już nie nasza sprawa.

Zagadnienie kto jeszcze oprócz nas chce czy chciałby bronić Gdańska, jest niewątpliwie ważne, ale dla nas, dla społeczeństwa polskiego nie ma znów tak bardzo decydującego znaczenia. Historia bowiem uczy, że Polacy, aczkolwiek cenią sojusze, miłowali się zawsze w *hazardzie*. Zwłaszcza — wojennym. Niedarmo nasza pieśń wojenna Konfederatów kończy się refrenem: „Taki nasz azard, taki nasz azard!”.

Łatwo to było zaobserwować wśród nas w ostatnich zwłaszcza czasach. Darzymy np. wielką sympatią gen. Ironside'a a wielkim szacunkiem — siły, którymi dowodzi. Ale nikt

w Warszawie nie szalał z uciechy, nikt nie wywrażał z radości koziołków, mimo, że przyjechał wielki wódz potężnej i wielkiej armii. Wizyta odbyła się godnie i w spokoju. Czyż warto bowiem stwierdzać, że Polacy mają entuzjazm tylko dla jednego Wodza i tylko dla jednej siły i że jest to ich „zawsze zwycięski Marszałek” i ich własna, może ryzykancka, ale zdecydowana siła? Ze nie rachunek na cudze decyzje, ale z całą świadomością i determinacją powzięta decyzja własna jest dziś, i to nie tylko w naszych oczach, zasadniczym elementem sytuacji europejskiej?

„DAMY PRZYKŁAD INNYM NACJOM, JAK ZWYCIĘŻAC MAJĄ!”

I to jest drugi element „zwycięstwa gdańskiego”. Nasz nikły dość poprzednio prestiż na Zachodzie wzrósł do rangi autorytetu w sprawach wojennych Europy. W Polsce nie znajdziesz „już śladów owej „mikromanii”, jaką niedgdy wszczepiła w nas niewola. Opinia polska pamięta o sojuszu z Francją i Anglią, ale pamięta w tym również sensie, że my daliśmy Francuzom i Anglikom gwarancję ich granic i gwarancji tych dotrymać możemy skuteczniej, niżby się komu mogło wydawać.

Jeśli bowiem, nie mając własnego państwa byliśmy niedgdy w garstce „pierwszym wojskiem Europy”, jeśli umieliśmy świat zadziwić naszą bitnością, to cóż dopiero dzisiaj, gdy jesteśmy nieposlednią wielkością na mapie i gdy dla wszystkich nas starczy karabinów. Śpiewaliśmy w swoim czasie: „Dał nam przykład Bonaparte, jak zwyciężać mamy”. Uważaliśmy siebie pod tym względem za uczniów Zachodu. Kto wie jednak, czy już w najbliższej przyszłości nie zrewanżujemy się tym samym naszym sojusznikom? Kto wie, może już w najbliższej przyszłości „damy przykład innym nacjom, jak zwyciężać mają!”

DZIĘKI CI, WODZU!

A — prawdę powiedziawszy — część tego rewanzu wzięliśmy JUŻ DZIŚ. Nauczylśmy pierwsi innych, jak odnosić zwycięstwa w wojnach typu „psychicznego”. Da Bóg, przyjdzie kolej i na inne. Bo co tu dużo gadać, istnieje w nas takie przekonanie, i to tak powszechnie mocne, że możnaby trawstując wieszczką, określić je słowami: „Byś serca nasze rozkołroł, nic w nich innego nie znajdziesz jedno: WYGRAMY!”.

Powtórzmy bowiem raz jeszcze, że wyzbyliśmy się w jednym historycznym momencie śladów owej „mikromanii”, jaką obdarzyła nas niewola. W jednym momencie poczuliśmy się więksi, niż przedtem. „Nic o nas bez nas”? Nie! *Nic bez nas o — Europie!*

Ten wzrost naszej siły, naszej wiary w siebie i naszej rangi w Europie mamy do zawdzięczenia sobie samym, pracy uporczywej, szkole twardej, myśli kierowniczej naszych wodzów.

Alé nie chcemy być niewdzięczni. Tak, zawdzięczamy to troszcząc jeszcze komuś innemu... *Ha b'd ank, H e r r F ü h r e r!*

Bolesław Wasylewski

„Życie człowieka i Narodu jest walką. W walce tej zwycięża ten, kto duszę swoją potrafi uformować na narzędzie zwycięstwa ukochanej sprawy”.

Adam Skwarczyński

RÓŻNI BYWAJĄ PRZYJACIELE POLSKI...

Cieżko jest żyć narodowi bez przyjaciół, ale nieraz także i z nimi. Namnożyło się ostatnio wcale poważnie przyjaciół Polski, warto więc zorientować się w różnych odmianach tego rodzaju człowieka.

Istnieje więc przede wszystkim najradszy, ale najcenniejszy prawdziwy przyjaciel Polski, taki jak np. plk. Faunt le Roy, który wziął udział w obronie Lwowa wraz z swymi lotnikami amerykańskimi. Nie koniecznie zresztą prawdziwy nasz przyjaciel musi swój stosunek do Polski udawadniać ofiarą życia lub jego narażeniem. W ciągu długiej historii polskich walk o niepodległość znalazło się wielu cudzoziemców, którzy sprawę Polski uznali za swoją i walczyli o nią jeśli nie szablą to piórem i słowem, bezinteresownie i nieraz z wielką ofiarnością. Byli to ludzie którzy zrozumieli ducha narodu polskiego, jego wielkość i historyczne przeznaczenie.

Ujęci urokiem wielkiego zmagania z losem i przeciwnościami jakie stanowiło zawsze istotę życia polskiego, ludzie ci stanęli zdecydowanie po naszej stronie. Można powiedzieć, że byli to prawdziwi Polacy, niezależnie od swego pochodzenia, bowiem wielkie narody mają to do siebie, że potrafią przyjmować do herbu obcych i czynić ich swoimi. Tylko naród o bogatej własnej kulturze i misji dziejowej stał na to aby przyciągać do siebie i dobrowolnie zaprzęgać do swego rydwanu ludzi obcej krwi. Polska dała w ciągu historii dowody swej wyjątkowo dużej siły atrakcyjnej, nawet w okresie upadku politycznego i obecnie należaliby dążyć do wzmoczenia wszystkich tych cech kultury narodowej, które sprawiają iż staje się ona magnesem dla innych ludów.

Nie mam tu na myśli zwyczajnej asymilacji mniejszości narodowych już zamieszkających na terytorium państwa, która stanowi zupełnie odrębne zagadnienie, lecz raczej o mniej licznych, zaś bardziej znaczących wypadkach przyswojenia Polsce np. Szweda, Szkota, Niemca lub Francuza.

Kwestia językowa również nie znajduje się tutaj na pierwszym planie, bowiem jakkolwiek trudno jest zrozumieć kulturę narodu nie znając jego języka, można być szczerym przyjacielem Polski władając tylko słabo jej językiem, zaś człowiekiem z gruntu obcym pisząc w tym języku nawet bardzo ładne wiersze...

Druga kategoria naszych zagranicznych przyjaciół, to sentymentaliści identyfikujący Polskę z mazurkami Szopena i temu podobnymi przejawami kultury narodowej, które pomimo swego niezaprzecznego znaczenia, nie mogą dać jej pełnego wyrazu. Przyjaciele ci rekrutują się najczęściej wśród kobiet i wspominam o nich jedynie dlatego, iż są stosunkowo liczni, choć bez porównania mniej wartościowi od pierwszej kategorii ludzi naprawdę zespolonych duchowo z Polską.

Wreszcie trzecia kategoria naszych przyjaciół to ci, którzy widzą w miłości do Polski jakiś interes. Zasadniczo niepodobna jest się od nich odzygiwać, bowiem stosunki międzynarodowe są bądź co bądź oparte na dobrze zrozumianym interesie i jeśli ktoś pragnie współpracy z Polską uważając, że dobrze może na tym wyjść, nikt nie może mu mieć tego za złe.

Jednak niemile musi nas razić podszywanie się tej trzeciej, czysto utylitarnej kategorii przyjaciół, pod szlachetne barwy kategorii pierwszej, ludzi rozumiejących ducha polskiego i odczuwających losy narodu równie żywo jak sami Polacy.

Jakże dobrze znany jest typ zagranicznego rekina przemysłowego, który zapewnia iż tylko dobro Polski, na celu, gdy w rzeczywistości nie chodzi mu o nic innego, jak o wywiezienie z kraju maksimum pieniędzy w tej lub innej formie

Pół biedy jeszcze, gdy poprzestaje na zapewnieniach, lecz bardzo często przyjaciele tego rodzaju zaczynają udzielać nam cennych rad i wskazówek, — wszystko z wielkiej dbałości o losy Polski. Niejeden cudzoziemiec uważa, że gdy rozpocznie rozmowę sakramentalną formułką: „Jestem wielkim przyjacielem Polski”, to potem wolno mu już rządzić się w kraju jak u siebie, rządzić na prawo i na lewo, obrażając się przytem śmiertelnie, gdy rady nie są wprowadzane w życie.

Im wyższe stanowisko takiego samozwańczego przyjaciela Polski, tym trudniej jest dać sobie z nim rady i przywołać do porządku. Nie małą winę ponoszą zresztą sami Polacy, z których zbyt wielu pozwala bez protestu na mieszanie się do wewnętrznych spraw polskich cudzoziemcom, występującym pod wszystkim usprawiedliwiający pokrywką „przyjaciół”.

„Jestem przyjacielem Polski” oświadcza na wstępie najczęściej wysoko postawiony gość, czasowy lub stały, „Wy, Polacy, nie macie poprostu pojęcia jak rządzić waszym krajem. Politykę względem Rosji trzeba zastosować taką, względem żydów taką, ambasadorem w Gwadelupie trzeba mianować p. Agrestowicza, ale broń Boże nie p. Pożiomkowskiego, koncesję na kolejkę Warszawa — Wyszków trzeba udzielić p. Brownowi, — inaczej Polska zginie, a byłoby to dla mnie strasznym ciosem, bo jestem waszym wielkim przyjacielem!” — tak zwykle przemawia do polskich przyjaciół cudzoziemiec.

• • •

Zapewne wystąpienia tego rodzaju nie mają wpływu na istotne decyzje Polaków w sprawach ich tylko dotyczących. Jednak sam fakt iż znajdują się tak liczni „przyjaciele”, których rad i zaleceń wysłuchujemy nieraz zbyt uprzejmie i chętnie, jest już dość rażącym i niewłaściwym. Charakterystycznym jest, iż z radami sformułowanymi dość kategorycznie i sięgającymi nieraz do najdrobniejszych szczegółów nasi przyjaciele nie występują zwykle od razu po przyjeździe, lecz dopiero gdy się zorientują, że podobne wystąpienie będzie dobrze przyjęte przez wielu słuchaczy.

Nic też dziwnego, że ci cudzoziemcy, którzy zmuszeni są przebywać w Polsce dłużej, bądź to w charakterze przedstawicieli swego kraju, bądź też we własnych interesach, celują w tego rodzaju interwencjach, rozczuchwani i przesadną uprzejmością, z jaką przyjmują ich gospodarze.

Mimowoli nasuwa się pytanie: dlaczego właściwie ludzie ci podają się za przyjaciół Polski, skoro uważają Polaków za tak niedołężnych, iż nie rozumieją się na własnych sprawach i potrzebują w nich pomocy obcych?

Niewątpliwie gdyby od czasu do czasu ktoś z Polaków posiadających odpowiedni autorytet udzielił takim nieproszonej doradcom ostrej odprawy, szacunek dla Polski wśród obcych wzmógłby się, pomimo przejściowych uraz i osobistych kwasów. Wszak nie jest naszym zwyczajem, gdy znajdujemy się zagranicą, uczyć obcych jak mają się rządzić i co robić, a więc i u siebie nie mamy racji cierpieć podobnych nietaktów.

Prawdziwymi naszych przyjaciół zagranicznych poznamy w chwili potrzeby, nie po radach i wskazówkach, lecz po realnej pomocy, należy się zaś obawiać, iż ci którzy dziś

najwięcej się powołują na swoją przyjaźń do Polski, mieszając się do jej spraw wewnętrznych, nie będą może pierwsi, gdy chodzić będzie o pomoc.

Tamci, prawdziwi przyjaciele, szanują naród polski i rozumieją cele jego pracy, pozostawiając ich wytyczenie samym Polakom. W każdym obcym kraju mamy prawdziwych i fałszywych przyjaciół i niepodobna jest czynić tu uogólnień, krzywdzących dla jednych, pochlebnych dla drugich, choć trzeba przyznać, że zwykle im większe mocarstwo reprezentuje nasz przyjaciel, tym bardziej skłonny bywa do przyjmowania tonu wyższości i do udzielania nam zbawiennych rad.

Dlatego też powtarzamy: grzeczność — grzecznością, przyjaźń — przyjaźnią, ale gdy taki przyjaciel zadużo sobie pozwala, to nie zawahajmy się przed zastosowaniem uproszczonej metody wychowania politycznego, zwanej popularnie „szczętkiem w nos” (oczywiście — w przenośni).

I nie miejmy żadnych obaw, że owa uproszczona metoda wpajania cudzoziemskim „przyjaciółom” respektu dla Polski da w wyniku ujemny efekt propagandowy. Zaręczamy — że wręcz przeciwnie.

Tadeusz Lutosławski

CETERUM CENSEO...

Akademicka wojna domowa

Prof. Uniwersytetu Poznańskiego, Czesław Znamierowski, zamieścił w jednym z pism codziennych alarmujący artykuł na temat sytuacji na terenie akademickim, w którym czytamy m. in.:

„Wpływy, pod którymi rozwija się i dojrzewa młodzież, nie sprzyjają dziś temu, by miała ona szacunek dla prawdy, a tym samym dla nauki i dla pracy naukowej. Nie ma też dziś warunków ku temu, by do szacunku dla nauki dochodziła poprzez szacunek dla uczonego.

Wie ona z własnego doświadczenia i, rzecz można, z praktyki własnej, że dostojństwa katedry i uczonego nie broni żadne braccium siły doczesnej przed wybrzykiem i zniewagą. Widzi przecież coraz częściej, że można bezkarnie zrywać wykłady, jak dawne sejmki, i blokować uczelnie, jak fabryki w regimie napół komunistycznym. I na przykładach tych wdraża się do myśli, że wolność nauki polega na tym, iż na uczonych, których niewyjąłuboszowana służba ma uznanie światowe, rzucić wolno cuchnące pociski i nie mniej cuchnące wyzyska. A jednocześnie zna tajne krużganki, które prowadzą do sztabu głównej akademickiej wojny domowej, co z pewnością nie pomnaża jej szacunku dla uczonego. Szczególniej, że nie bda ona o dokładne rozróżnienie między uczonym a tym, kto tylko ma pozycję urzędową w świecie akademickim.”

Porównanie teoretycznej akcji na terenie wyższych uczelni do zrywania sejmów i blokad fabryk, jest jedno z najtrafniejszych, jakie spotkałismsy w tej materii. Oddaje ono trafnie istotną treść tego, co Autor nazywa słusznie „akademicką wojną domową”. O ile chodzi o ocenę zajść na terenie akademickim — panuje dotąd u nas nieprawdopodobna wprost ignorancja i najbardziej fałszywe przesady. Dotąd jeszcze pewne sfery — i to bynajmniej nie opozycyjne! — skłonne są uważać, że to istotnie „młodzież narodowa” walczy o „ideały narodowe”, że dąży do likwidacji wpływów żydowskich i t. p., i że wobec tego z chwilą zaspokojenia tych postulatów porządek będzie przywrócony.

Otóż w tej ocenie tkwi właśnie błęd podstawowy. Młodzieży tej nie chodzi bowiem bynajmniej o istotną realizację

wysuwanych postulatów, gdyż hasła te są tylko środkiem do osiągnięcia celów całkiem innych. Gdyby nawet na wyższych uczelniach wprowadzony został numerus nullus dla Żydów, nie wywołoby to w jej środowisku żadnego entuzjazmu i przyjęte byłoby kwaśno. Może nawet wywołoby to szyszeństwo i kpiny, że czynnik miarodajne wzięły te hasła na serio i że sądziły wprost ducha, że o to naprawdę chodzi.

Tymczasem zaś chodzi zupełnie o co innego. Narodowa Demokracja prostopu nie może się pogodzić dotąd, że istniał Piłsudski, że odegrał swą rolę w życiu Państwa, że jest pochowany na Wawelu, że dokonał przewrotu majowego i t. p. Przekreśla to jej jedyną tezę, w którą naprawdę fanatycznie wierzy, że „narod — to my!”, i że Dmowski jest wodzem narodu i wskrzesicielem Polski. Pod hasłem więc rewansu za Maj i walki z obozem Piłsudskiego prowadzi Stron. Narodowe i Młodzież Wszechpolska swą akcję. Tylko temu jednemu celowi podporządkowana jest cała taktyka stronnictwa. Żadne kwestie programowe, żadne różnice albo zbieżności ideologiczne nie mają tu żadnego znaczenia. Kto tego nie rozumie — ten nie rozumie Nar. Demokracji wogóle. Nie chodzi tu bynajmniej o Żydów, jak to się g dzieńiedzie sądzi, lecz wyłącznie o nienawiść do Piłsudskiego. Realizacja postulatów w kwestii żydowskiej (częściowo, zresztą słusznych) w najmniejszym stopniu sprawy nie załatwi. Kto chce uderzyć psa — ten kij zawsze znajdzie. Jeśli chodzi o walkę z obozem Piłsudskiego, — każdy pretekst do tego będzie uważany za dobry. Ewentualne ustępstwa i koncesje będą zawsze uważane nie za powód do zaprzestania walki, lecz wyłącznie za powód do wynalezienia nowego pretekstu. Trzeba się wyzybyć wszelkich złudzeń, jakie tu mogą istnieć, bo rzeczywistość i tak wymierza w nie bezlitośnie pociski.

Trzeba się też wyrzec definitywnie resztek uległości wobec tulających się jeszcze gdzieś niedzieje naiwnych rozumowań, że „przecież to młodzież narodowa, która kocha Ojczyznę i która w razie potrzeby pójdzie na front...” Otóż, trzeba tu powiedzieć wyraźnie: na front pójdzie każdy obywatel, który dostanie kartę powołania. Spełnienie opatrzonego surową sankcją prawną obowiązku nie może być uważane za, jakkolwiek zasługę i tytuł do koncesji i pobłażliwości. Jest to równie niewłaściwe postawienie sprawy, jak lansowane niedawno przez „Politykę” koncepcje paktoz z Ukraincami w celu zyskania dla Polski „nowego sojusznika”. Elementarny obowiązek obywatela wobec Państwa nie może być przedmiotem jakichkolwiek zastrzeżeń i targów, gdyż za niespełnienie jego idzie się podczas wojny prostopu — o d m u r...

W Krakowie odbywają się obecnie wielkie uroczystości jubileuszowe pod hasłem „Polska na szlaku Józefa Piłsudskiego”. Należy zrozumieć, że celem Narod. Demokracji (mniejsza z tym, czy realnym) jest doprowadzenie do takiego stanu rzeczy, przy którym nie byłoby wogóle możliwe podobnego rodzaju obchody, przy którym imię Piłsudskiego uległoby zapomnieniu, a data 6 sierpnia zostałaby wymazana z kart historii polskiej.

Awangardą Stron. Narodowego w tej fantastycznej walce jest młodzież akademicka, pozostająca pod jego wpływami. Jest tylko o tym i niczym innym. Ma tylko te cele — i żadnych innych. Pod tymi tylko hasłami prowadzona jest praca we wszystkich tych „Drużynach Chrobrego” i „Orlach Białych”, względnie na tych wyższych stopniach wtajemniczenia, na których mówi się już adeptom, że wrogem są nie Żydzi — lecz rząd...

Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby zrozumienie tej prostej prawdy przeniknęło na sto procent do wszystkich komórek Ministerstwa przy alei Szucha...

Witold Ipohorski-Lenkiewicz

KRUCJATA ŁAMANEGO KRZYŻA

Rok ostatni, brzemienno w wypadki najdonioślejsze od czasu wielkiej wojny, był jednocześnie rokiem ostatecznego ujawnienia celów i metod polityki niemieckiej. Być może — że owo zorientowanie się świata w sekrecie gry niemieckiej nastąpiło w stopniu nawet większym, niż był tego pragnął jego twórcy, którym przykro byłoby wyrzec się tak skutecznego i niezawodnego dotąd oręża. Za hipotezę tą przemawiałby fakt, że już po aneksji Czech, Moraw i Kłajpedy dyplomacja niemiecka usiłowała stosować nadal metody, które zdały w swoim czasie egzamin... w Sudetach.

Odsłonięcie kart przez politykę niemiecką musi pociągnąć za sobą ważne konsekwencje w polityce wewnętrznej narodów, przeciwko którym zwrócony jest nacisk III Rzeszy. Jeśli bowiem ktoś ujawnił świadome lub mimowoli, na czym polega istota jego zamiarów wobec sąsiadów oraz jakimi drogami ma zamiar swoje cele osiągnąć — instynkt samozachowawczy narodów zagrożonych winien domagać się wyciągnięcia z tych faktów pełni konsekwencji.

Jedną z takich konsekwencji winna być likwidacja eksklaw ideologicznych III Rzeszy na projektowanym terenie jej marszu. Nie ulega bowiem wątpliwości, że jedną z metod działania polityki niemieckiej, obok „wojny na wytrzymałość” jest i będzie nadal krucjata ideologiczna. Osłabić od wewnątrz upatrzone na ofiarę narody i przygotować w ten sposób grunt pod przyszłe bezkrawowe zwycięstwo — takie są przejrzyste cele tej nowoczesnej krucjaty, prowadzonej pod znakiem łamanego krzyża.

Mówiąc o eksklawach ideologicznych III Rzeszy — nie mieliśmy na myśli komórek organizacyjnych mniejszości niemieckiej na terytorium obcym. Jest to zagadnienie odrębne, które pozostawiamy obecnie całkiem na uboczu. Chodzi nam w danym wypadku wyłącznie o pewne prądy ideologiczne w narodach rdzennych, wypływające ze źródeł doktryny narodowo-socjalistycznej, a które mogłyby się stać nieświadomie przewodnikiem politycznych tendencji III Rzeszy.

* * *

Kolejność etapów, jakie zakreśla sobie tak pomyślana akcja niemiecka, jest jasna. Etapem pierwszym byłoby wskazanie narodowi jakiegoś urojonego albo drugorzędnego wroga i podniesie go do godności „wroga Nr. 1”; etapem drugim — zasugerowanie, że z tym właśnie wrogiem walczy (i przoduje w tej walce!) nar.-socjalistyczna partia Niemiec; etapem trzecim — wytworzenie więzi pokrewieństwa duchowego pomiędzy NSDAP a jej odpowiednikiem, i wreszcie etapem czwartym — wykorzystanie stworzonej w ten sposób eksklawy w kierunku rozbiorzenia psychicznego narodu od wewnątrz.

Cóż by to bowiem był za triumf polityki niemieckiej, gdyby w krajach, które mają stanowić „przestrzeń życiową” dla Rzeszy, zaczęła się szeregować jej ideologia! Gdyby zaczęły wzrastać w siłę partię, uważające NSDAP za swego mistrza duchowego a które zgłosiłyby akces do tej „krucjaty” i ozdobiły swe piersi symbolicznym znakiem łamanego krzyża!

Cóż to byłby za triumf, gdyby w państwach, upatrzonych przez zaborczy naród na przyszłe ofiary, ów naród jawił by się nie w postaci Raubrittera, chybającego na cudze dobro, lecz w postaci św. Michała Archanioła, porażającego włócznią wspólnego wroga! Któżby znalazł w sobie siły do przeciwstawienia się temu witeziowi, któżby chciał przyznać, że jest jego wrogiem narówni z tym zdeptytym i zwyciężonym smokiem!

Cóż by to była wreszcie za rozterka psychiczna dla żołnierza, widzącego w nieprzyjacielu, z którym ma walczyć — chorążego, bojownika i pioniera tej samej idei, którą on, jako skromny adept, zaczął również wyznawać! Tak, to jest stawka, dla której warto popracować! Tak, to jest cel, dla osiągnięcia którego warto nie szczepić ani wysiłków, ani pieniędzy, oni nawet... mijania się z prawdą!

I dlatego też możemy być pewni, że nie ustaną wysiłki nad wmawianiem w zainteresowane narody, że wrogiem ich nie jest bynajmniej zbrojny po uszy sąsiad, dybiący na ich ziemie, jako na swoją przestrzeń życiową, lecz jakiś inny wróg wspólny, jakaś bestia apokaliptyczna, która parol na nich (i na Rzeszę) zagaiła!

Możemy być pewni, że nie osłabnie i nie ustanie fala sugestii, że istotą polityki niemieckiej nie jest bynajmniej dążenie do zaboru ziem cudzych, lecz tylko krucjata ideologiczna — przeciwko tym apokaliptycznym wrogom ludzkości. Możemy być pewni, że nie ustają próby wmówienia w zainteresowane narody, że cel ten jest tak wielki, tak piękny i tak wzniosły, że gdyby nawet nastąpiły przy tym takie „nieistotne szczegóły”, jak przesunięcie granic, wysiedlenie ludności itp. — to cóż to może znaczyć wobec wielkości i świętości tego celu głównego!

Warto sobie przypomnieć w tym miejscu pewien szczegół z historii wojen polsko-szwedzkich. Gdy całe województwa, miasta i regimenty poddawały się najjaśniejszemu królowi szwedzkiemu, w pojęciu ówczesnych nie oznaczało to bynajmniej, że ta Rzplita idzie w niewolę, „jako że pana zmiennia”. Dzisiaj, gdy obserwujemy wypadki dobrowolnej rezygnacji narodów z niepodległości, cóż to za pokusa dla winnych stwierdzić, że to nie naród idzie w niewolę, „jako że cele swe zmienia”, że zamiast uważać za swego wroga, powiedzmy, państwo A — będzie uważał odtąd, dajmy na to, ideologię B i że razem z tym państwem zaborczym wyruszy na świętą wojnę.

Cóż to za wspaniałe ułatwienie psychiczne dla ludzi, wzdrgających się przed jawną kapitulacją, a których w chwili rozterki może na wiedzieć olśnienie, że tu nie chodzi przecież o zdradę ojczyzny, lecz poprostu — o akces do tej nowoczesnej krucjaty, prowadzonej przy boku tych, którzy pierwsi wici na nią rozesłali.

Na podłożu tej wspólnoty ideologicznej (a ściślej biorąc — podłożu ideologicznego) powstają mogą takie zjawiska, jak deklaracja głowy państwa kapitulującego o „be-zgranicznym zaufaniu” do głowy państwa zaborczego. Zaznaczymy na marginesie, że trudno w tym miejscu nie przypomnieć pewnej scenki z „Potopu”, kiedy to gen. Miller kazał aresztować przybyłych do jego obozu parlamentarzystów — mnichów i kiedy szlachetny pułkownik Sadowski zaczął dowodzić, że tak się czynić nie godzi, gdyż są to posłowie, „którzy w zaufaniu przybyli”. Jak wiadomo — odpowiedź gen. Millera brzmiała filozoficznie: „Ja też nie na zaufaniu kączę ich powiesić, „jako na szubienicy”...”

Wypadki, rozgrywające się obecnie na terytorium pewnych „protektoratów” stanowią wymowną ilustrację do tej cytaty...

* * *

W poruszoną przez nas zagadnienie odgrywają rolę dwa niezależne od siebie czynniki. Pierwszy z nich — to świadoma działalność propagandy niemieckiej. Drugi — to nieświadome, choć bardzo skuteczne nieraz współdziałanie tych wszystkich, którzy w tym czy innym stopniu ulegli wpływowi „modnych” doktryn zza naszej zachodniej granicy.

Czas więc najwyższy, ażeby ta druga kategoria „honorowych ambasadorów” Narodowego Socjalizmu zdała sobie sprawę z istoty rzeczy i ażeby robota, prowadzona w imię najbardziej „narodowych” celów nie okazała się w rzeczywistości robotą pour le roi de Prusse.

W polskiej historii i w polskiej psychice narodowej istnieje bowiem dostateczna ilość wartościowych, a nawet bezcennych piśmienników i znajdujących wyraz w szeregu przejawów życia publicznego. Uczucia te znalazły również swoje odbicie w obowiązującym ustawodawstwie, przewidującym surowe kary za bluźnierstwo i obrazę wierzeń religijnych.

W. L.

NASZE PROJEKTY

Projekt ustawy o ochronie znaku krzyża św.

Polska jest krajem od wieków chrześcijańskim. Uczucia i wierzenia olbrzymiej większości społeczeństwa są zupełnie wyraźnie zarysowane i znajdują swój wyraz w szeregu przejawów życia publicznego. Uczucia te znalazły również swoje odbicie w obowiązującym ustawodawstwie, przewidującym surowe kary za bluźnierstwo i obrazę wierzeń religijnych.

Istnieje jednakże w tej dziedzinie pewna luka, z konsekwencjami której możemy się spotkać na każdym kroku.

Udajmy się mianowicie któregoś dnia na przechadzkę bądź ulicami stolicy, bądź pierwszego lepszego miasta prowincjonalnego i zwróćmy uwagę na napotkane składy apteczne, mydlarnie i t. p. Prawie w każdym z tych sklepów znajdziemy reklamę środków w antykonceptyjnych, opatrzonych nie mniej ni więcej tylko — znakiem krzyża świętego!

Zdajemy sobie sprawę, jaka jest geneza tego wolającego o pomstę do nieba skandalu. Poprostu — wyroby te były opatrzone początkowo znakiem Czerwonego Krzyża. Po spopularyzowaniu się w społeczeństwie tej instytucji zaczęto bowiem uważać jej godło za symbol higieniczno-sanitarno-lekarski i opatrzyć nim wszystkie wyroby, mające związek z t. zw. „higieną”. Zapędy te zostały jednak zahamowane, gdyż T-wo Czerwonego Krzyża jest instytucją wyższej użyteczności publicznej i jako takie korzysta z ustawowej ochrony znaków. Wówczas zaczęto wiadome „wyroby gumowe” oznaczać poprostu znakiem krzyża, gdyż to najświętsze godło religii chrześcijańskiej, nie podlega, jak się okazało, dobrodzieństwu ochrony.

Jak widzimy więc — wytworzony stan rzeczy jest z jednej strony konsekwencją nadużywania w przeszłości znaku Czerwonego Krzyża a z drugiej — wynikiem braku reakcji ze strony chrześcijańskiej części ludności kraju. Niemniej jednak winien być zlikwidowany w czasie możliwie najkrótszym. Krzyż, święte godło Męki Pańskiej, nie może firmować wyrobów firmy „Olla” w witrynie żydowskiego lub innego sklepu! Możemy sobie wyobrazić, jak muszą się natrząsać Żydzi z tej niezrozumiałej obojętności i tolerancji „gojów”! Bo, że oni nie tolerowaliby na tego rodzaju wyrobach znaku gwiazdy Dawida — to pewnie!

Sprawa ta może być załatwiona dwójako. Drogą pierwszą byłoby wydanie zwykłego okólnika, zawierającego odpowiednią interpretację obowiązujących już artykułów kodeksu karnego.

Drogą drugą (w razie gdyby pierwsza okazała się niemożliwą) — byłoby uchwalenie przez Sejm i Senat specjalnej ustawy o ochronie znaku krzyża św.

Zwracamy się wobec tego do pp. Senatorów i Posłów, stojących na gruncie zasad chrześcijańskich, ażeby zechcieli nad sprawą tą zastanowić się i wystąpić z odpowiednią inicjatywą ustawodawczą. Ta sprawa — to symbol!

NA SMUTNO I NA WESOŁO

Prośba pod adresem Reichspropagandy

Ostatnimi dniami szereg pism polskich oraz osób prywatnych otrzymał w zamkniętych kopertach, opatrzonych znacznikiem 50-groszowym, odbite w formie broszurki przerwienie kancлера Rzeszy z dnia 28 kwietnia r. b. Przewodzenie to nazwane jest w komentarzu „początkiem nowej ery”.

Jeśli chodzi o wyniki tego rodzaju propagandy, to w języku polskim określane są one krótko i wzięwłowo: szkoda czasu i atłasul!

Jeśli jednak Reichspropaganda upiera się stanowczo, ażeby rozsyłać nadal swoje elaboraty czytelnikom polskim, to pozwolimy sobie skierować pod jej adresem pewną skromną prośbę. Tę mianowicie, ażeby jej wypracowania były drukowane w przyszłości na papierze bardziej... miękkim. Ten ostatni okazał się bowiem stanowczo za twardy.

Cierpliwy kancлер

Pod tytułem „Anglicy nie chcą zakłócać odpoczynku Hitlera” „Express Poranny” pisze:

„Brytyjskie ministerstwo lotnictwa wydało angielskim lotnikom komunikacyjnym i sportowym zakaz przelatywania nad Berchtesgaden i okolicą.

Zakaz ten wydany został na prośbę Niemców, którym chodzi o to, by wypoczynek kancлера Hitlera nie był przerywany hałasem przelatujących samolotów.”

Swoją drogą — cierpliw był dotąd ten kancлер Hitler! Gdyby tak u nas latały samoloty niemieckie nad Spalą — dawno już byłoby w robocie zenitowe dział!

Przeklęta geografia

Agencja Telegraficzna „Express” podaje następującą wiadomość z Londynu:

„Times” donosi, że w Austrii dokonano pacyfikacji wśród górników.

Między t. zw. tradycjonalistami, którzy są zwolennikami przywrócenia monarchii, a falangistami, reprezentującymi tendencje radykalne, dochodzi raz po raz do krwawych bójek.”

Wobec tego oczekujemy w najbliższym czasie depeszy ATE, że w Austrii doszło do bójek pomiędzy hitlerowcami a zwolennikami kancлера Schuschnigga.

Historyczny karabin maszynowy

„Warszawski Dziennik Narodowy” podaje opis wystawy, poświęconej zagadnieniom obronności, jaka została urządzona w Muzeum Przemysłu i Techniki. W opisie tym czytamy m. in.:

„Zinteresowanie budzi również oryginalny prototyp karabinu maszynowego z XVIII wieku w zestawieniu z ręcznym k. m. współczesnym”.

Jak się dowiadujemy, jest to ten sam typ karabinu maszynowego, przy pomocy którego Juliusz Cezar pobił pod Cezorą Karola Gustawa.

Nie wystarczy mówić o obronie przeciwlotniczej — trzeba dać temu czynny wyraz.

Czy jesteś już członkiem L. O. P. P.?

Czy płacisz regularnie składki?

REFLEKSJE I UWAGI

PAN ZABŁOCKI, DUCE I OŚ.

W swoim czasie, po ugruntowaniu się regimenu narod.-socjalistycznego w Niemczech były bardzo popularne w Polsce rozważania na temat: Kto jest mądrzejszy — Duce czy Führer? W 99% odpowiedzi wypadła: Duce!

Być może odpowiedź ta nosiła pewne piętno subiektywizmu. Niemcy nie byli nigdy w Polsce lubiani, osoba zaś wkrzesiciela Imperium Rzymskiego cieszyła się w Polsce znaczną popularnością. Niezależnie jednak od tego — owa prychylna opinia Polaków o Duce była popierana szeregiem argumentów, uzasadniających przewagę umysłową nowoczesnego Cezara nad ciężką i gruboskorną mentalnością niemiecką.

Po związaniu się jednak Włoch z Niemcami wojskowym sojuszem sytuacja zmieniła się zasadniczo. Entuzjaści geniuszu Mussoliniego zachodzą dziś w głowę: w jaki sposób taki mądry człowiek dał się zapędzić w tak fatalną matnię?

Nie chodzi tu bynajmniej o to, że sojusz włosko - niemiecki jest z punktu widzenia interesów polskich zjawiskiem niekorzystnym. Zupełnie niezależnie od tego nasuwa się ludziom pytanie: jaki interes może mieć Duce w związaniu się z Niemcami?

Współdziałanie Niemiec i Włoch, zakończone, logicznie biorąc, wojną z koalicją antypanaplastyczną, może mieć tylko dwie możliwości. Albo oś dostaje w skórę — albo nie. W pierwszym przypadku sprawy stoją całkiem źle — to rzecz oczywista. 'Ale i w drugim przedstawiają się również katastroficznie. Bo czy możemy sobie wyobrazić, ażeby Italia sama jedna mogła się przeciwstawić Führerowi po jego ewentualnym zwycięstwie nad całym światem? I to przy znanej psychologii dyktatorów, nie znoszącej organicznie istnienia drugiego słońca na niebie?

Cała siła Italii i możność zachowania przez nią istotnej niepodległości polega dziś na tym, że Duce może jeszcze, bądź co bądź, manewrować. Gdy istnieją potężni przeciwnicy Niemiec może on zagrać dziś tak, a jutro inaczej. Ale gdyby tych przeciwników zabrakło? Gdyby z wyżyn Walhalli rozpostarł swe panowanie nad światem upity krwią triumfujący germański Wotan, cóżby robił jego mniejszy, choć sympatyczniejszy konkurent z Kapitolu rzymskiego? Czy nie pozostałby mu na pocieszenie tekst przemówienia Führera na bankiecie w Rzymie, że „z nienaruszalności granicy Brenneru uczynię testament dla narodu niemieckiego“ oraz słynna depesza po zagarnięciu Austrii: „Mussolini! Nigdy Panu tego nie zapomnę!“.

Zwolennicy II Duce chodzą więc dzisiaj markotni i twierdzą z melancholią, że na tym całe „osiowym“ interesie Mussolini wyjść musi nieuchronnie jak Zabłocki na mydle. Jak amen w pacierzu.

CEZAR I TUWIM.

W swoim czasie p. Julian Tuwim ogłosił swój znany wiersz o generalnej kłapcie całego świata, w którym pisał m. in.:

„W czarycznej krępie bani
Pycha kipi. Z matrem w brwiach
Duce huczy. !Italiani!
Wy karmieni i chowani
Na wilczychach i na lwach!
Grzmij olbrzymie! Lecz i Rzymie
Plajta, kłapa, koniec, krach!“.

Wiersz ten wywołał w swoim czasie powszechną dezaprobatę. Żadne znaki na ziemi i niebie nie wskazywały na bliskie załamanie się Italii, która zaczęła wówczas imponować światu swoim olbrzymim rozmachem inwestycyjnym.

Jednakże, kto wie, po sławnym sojuszu włosko-niemieckim, czy prośroctwo panatunimowe nie jest już bliższe urzeczywistnieniu?

HEJ SOWY, KRUKI, PUCHACZE!...

W jednym ze swoich przemówień p. min. Goebbels oświadczył nie dawno, że

„Polityczny i strategiczny geniusz Hitlera znajdzie już w niezadługim czasie jedno z tych niezawodnych i mądre obmyślanych posunięć, którymi od 1935-go roku uprawiał cały świat w zdumienie, zaskakując całkowicie swoich przeciwników“.

Pan minister dodał zarazem, że

„wojnę tę, wojnę o „niemieckie prawo do życia“, „o naszą przetrześć życiową“ prowadzić będziemy z całym świadomym okrucieństwem, aby pokonani przez nas przeciwnicy nigdy już przeciwko silnie niemieckiej potęgce nie mogli!“.

A więc Niemcy przyznają się z góry, że wojnę prowadzić będą bez litości i bez miłosierdzia? Doskonale! „Hej, sowy, kruki, puchacze — i my nie miejmy litości!“.

NOWY SYMBOL III RZESZY.

Jak doniosła prasa — na jednej z uroczystości publicznych w III Rzeszy zostało zademonstrowane niedawno zdumionej publiczności pewne novum. W alegorycznym pochodzie, symbolizującym starogermańskie bóstwa, wystąpiły mianowicie boginie, mające za cały strój — złote pantofelki. Ten ościany nudyzm został uzasadniony, jako dające do krzewienia kultu germańskiej urody.

Wypadek ten zasługuje na baczną uwagę, gdyż nosi on charakter wymownego symbolu. Po dojściu do władzy Narodowy Socjalizm rzucił hasło powrotu do starogermańskiej surowości obyczajów. W alegorycznym pochodzie, symbolizującym starogermańskie bóstwa, wystąpiły mianowicie boginie, mające za cały strój — złote pantofelki. Ten ościany nudyzm został uzasadniony, jako dające do krzewienia kultu germańskiej urody.

Dotychczas socjalizm zaczyna w tej dziedzinie trącić na odwrot. P. dr. Goebbels doszedł do wniosku, że surowość obyczajów, wstrzeźliwość i cnoty rodzinne są to cnoty nietylne germańskie i chrześcijańskie, a więc mające związek ze Starym Testamentem, czyli — z Żydostwem. Pierwszą jaskółką nowego kursu było więc ponowne dopuszczenie artystycznej porożności do ilustrowanych magazynów niemieckich. P. dr. Goebbels wysunął poza tym argument, że naród niemiecki zaczął zdradzać ostatnio tendencję do mniejszej rozrodczości, a więc jest rzeczą pożądaną, ażeby zaczął on żyć w stanie ciągłego podniecenia seksualnego.

Wyrazem tego nowego kursu była więc uroczysta defilada nagich amazoetek przed najwyższymi osobistościami regimenu. Symbolem III Rzeszy, obok dotychczasowego godła — swastyki, zaczyna być coraz bardziej — goła sempiterna... Gratulujemy!

NAJGLUPSZY NARÓD NA ŚWIECIE.

Za najglupszy naród na świecie uważamy nie Australijczyków i nie Papuasów, jedzących glisty ziemne i glinę, ale Słowaków. Nie chodzi nam bowiem o poziom kultury duchowej i materialnej, lecz o rozwój świadomości narodowej, odpowiadający osiągnięciu szczeblowi cywilizacji i o zwykłą „niepodłość logicznego rozumowania“.

Pod tym względem to, co się dzieje w urzędowej Słowacji — jest bodaj bez precedensu. Ażeby wyrobić sobie sąd o zmyśle politycznym tego „narodu“, wystarczy przejrzyć wycinki „Slovaka“, wystarczy posłuchać retorycznych popisów radia z Bratisławy, zachwalających rozwój narodu słowackiego „pod opieką wielkomołowego nemeckawo Kanclerza“.

Sytuacja, powtarzamy, jest bez precedensu. Wielki i zaborczy naród środkowej Europy głosi otwarcie, że celem jego jest zdobycie nowych ziem na wschodzie, aby „osadzić tam nowe pokolenia chłopów niemieckich“, — a naród leżący właśnie na wschód od owego kolosa, a więc będący obiektem jego zaborczych tendencji, „oddaje mu się z ufnością w opiekę!“

Wielki zaborczy naród realizuje konsekwentnie swe plany, zakłada bazy wojskowe dla swoich przyszłych wschodnich operacji, demonstruje z brutalną szczerością, że nie przywiązuje żadnej wagi do żadnych „przegadów“, traktatów, umów, i obietnic — a mały narodek merda radośnie ogonkiem i służy na dwóch łapkach jak piesek, dziękując za podarowaną łaskawie „niepodłość logiczną“!

O psieku wspomnieliśmy celowo. Niektórzy obserwatorzy tłumaczą bowiem zachowanie się Słowaków właśnie psychologią tego małego pieska, który, gdy się do niego zbliża wielki brytan, przewraca się na grzbiet i macha filuternie łapkami. W tem postępowaniu przejawia się więc pewien instynkt samozachowawczy i pewna chęć obrony metodą najłatwiejszą.

Możliwie, że w postępowaniu Słowaków tkwią i tego rodzaju elementy. Ale my wolimy to tłumaczyć w pierwszym rzędzie — nieprawdopodobną, fenomenalną głupotę, bez precedensów i bez analogii. Przemawiają nam również do przekonania wywody niektórych publicystów (zdaje się, że p. Brauna w „Mercuriuszu”), że na południe i na południowy zachód od Polski żyją *nienarody*, ale — *narodki*, którym obce jest poczucie godności i wiary w siebie, a które muszą opłacać się, jak bluszczy, dookoła innych.

Możliwie, że — jak twierdzą niektórzy — istotne nastroje masy narodu słowackiego są i n. e. Ale jak dotąd — nie mamy na to żadnych konkretnych dowodów. Niech się naród słowacki zbuntuje przeciwko swoim oficjalnym przywódcom, niech da wyraz swoim kulturalnym uczuciom, niech zaprzestuje przeciwko prądom i wpływom neopoglądów, niech wyłoni chociażby jakąś słabą, ale widoczną pozycję, — a wówczas, być może, zmienimy zdanie.

Sprawy te posiadają dla narodu słowackiego większe znaczenie, niż by to się mogło wydawać. Jeśli po zwycięskiej, da Bóg, potrzebie dojdzie do ustalania nowego ładu w Europie środkowej, od dzisiejszego zachowania się Słowaków będzie zależało, jak będzie wyglądała wówczas kwestia słowacka. Możliwie, że prawdziwie, dojrzałe i posiadające poczucie godności narody (a nie—narodki!) postawią sprawę w ten sposób, że nie istnieje wogóle żadna „kwestia słowacka”. Ze naród, który zademonstrował taki brak godności, rozsądki idojrzałości, jak to czynią obecnie Słowacy, wogóle nie jest wart tego, ażeby jego losami się martwić i głowę sobie suszyć.

Może dojdzie łatwo do tego, że narody, które będą decydowały wówczas o losach Europy, machną poprostu ręką na Słowaków i powiedzą: niech ich biorą Węgrzy albo zwycięzcy diabli!

wil.

LITERATURA I TORNISTER

Gdy myśl społeczeństwa zaprzątnięta jest dziś całą zagadnieniami wojny, gdy na czoło spraw publicznych wysuwają się sprawy uzbrojenia, ekwipunku, wyżywienia prostego żołnierza, nie sposób opędzić się od przykowego i niemniej natrętnego pytania. Brzmi ono mniej więcej tak: z jaką książką, z jaką literaturą w plecaku ma iść dziś na wojnę współczesny polski żołnierz?

Powiedzmy, że pytanie takie zadaje sobie referent oświatowy przy pułku czy batalionie, działacz społeczny z P. B. K. lub z referatu wychowania obywatelskiego „Strzelca”. Przypuśćmy, że z pytaniem tym zwraca się wprost do instancji najwyższej, czyli do samego P. A. L.-u. Cóż mu odpisać w odpowiedzi? Czy przysłać mu obszerny katalog książek, czy opracowany treściwy wykaz dzieł dla biblioteki czy też spis t. zw. małego zestawu bibliotecznego? Czy też: ani jedno, ani drugie, ani trzecie.

Sprawa jest, jak się rzekło, kłopotliwą i nawet niebardzo nadaje się dziś do poruszania. No, bo jakże... Konia z rzędem temu, kto opracuje taki katalog książek wartościowych, współczesnych a żołnierzowi potrzebnych! Pisząc te słowa zadał niedawno to pytanie znanemu badaczowi literatury. Szło nie o książki rozrywkowe ale o dobrą beletrystykę ideowo-wychowawczą, a nade wszystko batalistyczną. Badacz chmurzył się długo, aż po namyśle rzekł: Kossak-Szczuka. Potem zaczął rzucić jeszcze te i owe, mniej lub więcej znane nazwiska i tytuły, aż wreszcie z westchnieniem szepnął: *Ha, cóż... „Trylogia”*.

Warto nadmienić, że już uczniowie w szkołach uczą się nieodstępnie przy czytaniu „Trylogii” o tym, jaką rolę spełniła ona w walkach o niepodległość. Pokolenie z 1831 r. miało swego „Wallenroda”, pokolenia następne wszystkich trzech wieszczów, młodzież walcząca z r. 1920 — swych przewodników duchowych, Zeromskiego i Wyspiańskiego. A dziś? A jutro? Nie chodzi nam w tym wypadku ani o wielkie nazwiska w literaturze ani o ducha wśród młodzieży. Ani jednego ani drugiego, chwała Bogu, nam nie brak. Ale tak się jakoś złożyło, że pomiędzy tymi nazwiskami a tym „duchem” niema owej więzi ideologicznej, która zawiązuje się najmocniej w rowie strzeleckim, w szpitalu wojskowym a w ogóle — w żołnierskim plecaku.

Strug... Przyszło to wielkie nazwisko na myśl nagle i zgąsło, nie rozniecone żadnym wspomnieniem przymierza pisarza z czytającą młodzieżą... „Piłsudzczy” Kadena, w ogóle: Bandrowski... I tak w kółko wyliczania, poszukiwania, wahania... Cóż, trzeba zdaje się, rąbnąć prawdę „prosto z mostu”: *mlodzież (masa) nie ma jakoś wielkiego kultu dla żadnego z żyjących pisarzy polskich*.

Wiemy dobrze, że pisarze mają na to gotową odpowiedź: młodzież nie czyta, woli gonić z kastetami, woli chodzić na mecze piłkarskie etc... Lecz taka odpowiedź powoduje właśnie owo

pytanie: a co ma czytać dla rozwoju ducha narodowego, dla uspołecznienia instynktów, dla bojowego pokrepienia serc? Nasuwa się długa, bardzo długa lista książek z ostatniego dwudziestolecia, książek których właśnie czytać nie powinna. Owych powieści pisanych przez literatów o literatach i dla literatów, a jak niektórzy twierdzą — dla historycznych żydówek. Owych premiowanych książek o gruzłikach i kalekach, o degeneratach i hochstaplerach, o fantastach i homoerotach.

Zapewne, uogólniane w ten sposób sądy mogą brzmieć niepoważnie. Łatwo spotkać się z zarzutem ignorancji, z zarzutem prymitywizmu w delikatnych sprawach literackiego tworzenia.

Słyszało się już zresztą nieraz ów apologetyczny argument, że literatura nasza po wspaniałym okresie swej służby publicznej w czasach niewoli zasłużyła sobie w pełni na to, by rozwijać się po własnej linii, wolna od tendencji, od obowiązków „krzepienia serc”, od przymusu „patriotyczności”. Literatura nie ma zresztą za zadanie odlewać z ołowiu blaszanych żołnierszków, literatura nie ma w ogóle żadnych zadań, prócz tych, które w sposób „autonomiczny” stawia przed twórcą.

Pięknie. Ale dajcie rekrutowi do czytania np. młodą poezję. Czyż nie walenie odbezpieczonym granatem w sam środek krakowskiej Awangardy? Albo młodą powieść... Czyż rozumnie cokolwiek z „abrakadabry” wewnętrznych przeżyć jej dziwacznych bohaterów. Owszem, zrozumiałby. Gdyby przeżył te były na miarę epoki wielkie, gdyby idee te były żywe w masach, wtedy niechęć sobie autor gada jakim chce językiem. Nie o „niezrozumiałość” formy bowiem idzie, która gdy tworzona przez artystę, nie stanowi zapyry pomiędzy dziełem a czytelnikami. Idzie o zastraszające niezrozumiałość treści, jej kompletny niemal anachronizm, jej absolutna nieobecność w codziennym życiu zbiorowym brany od fasady a nie od śmietnika, nieobecność życia tego w niej. Aż proszą się nazwiska, tytuły, przykłady... Trzeba by robić tasiemcowy indeks. I wciąż nowe i wciąż nowe, aż włosy na głowie stawiają dębem z przerażenia. Indywidualizm aż do schizofrenii. Seksualizm z reguły kliniczny. Ekshibicyjny liryzm, bezwyznaniowy „intelektualizm”. I przede wszystkim: *autorki*. O matko-polko!

Rzecz dochodzi do tego: gdyby głośno towarzystwa wydawnicze (znajdujące się znów „z reguły” w niepolskich rękach) chciały uraczyć nasze pułki nową literaturą, przez siebie wydawaną, trzeba by było wtedy ten cały „rój” ułożyć na wielki stos i podpalić. Trudno, trzeba się bronić. Z wojną nie ma żartów. Młody korpus oficerski nie może się karmić ani nowoczesnym „romansiem lotrzykowskim”, ani powieścią psychiatryczną ani nudną epopeją mieszczańską, ani brudną pornografią, ani zwykłą bibulą pacyfistyczną, pisaną przez żydowskich inwalidów austriackiej armii lub ich żony.

Z drugiej strony lepiej, by nie wychowywał się na książkach „zamówionych” pt. „Na polu chwały”, „Naprzód marsz” itp. Lepiej więc niech czyta po raz setny „Noc listopadową”, „Wolodyjowskiego” i „Wierną rzekę”. Albo niech nie czyta wcale. Niech nie bierze do plecaków, w pole, na front żadnych książek. Niech idzie na front samotnie, bez duchowych przewodników. Niech śni swój „sen o szpadzie” odrzuca na jawie. Niech przeżywa wielkość swej epoki odrzuca w czynie. Może powstać z tego większe czyny. Może powstać z tego lepsze książki.

* * *

Uwagi te nie mogą być uważane za nic innego; jak tylko za subiektywny wybuch gorzkiego zwyczajnego, szczerego czytelnika. Ale jest rzecz ciekawa, jakie stanowisko wobec scharakteryzowanej tu współczesnej produkcji literackiej zajmuje współczesna krytyka literacka i historii literatury. Trudno się w tym jednak zorientować. Z jednej strony jesteśmy bowiem tylko od czasu do czasu świadkami głośniejszych bojów o wartości formalne, z drugiej — rozpraw ideologicznych nad przeszłością literacką. Istnieją szkoły, ale są to szkoły stylistyczne. Istnieją obozy, ale są to obozy metodyczne. Nie ma sporów światopoglądowych, jak pomiędzy klasykami i romantykami, jak pomiędzy „pozytywistami”, epigonami, niepodległościowcami. A jeśli bywają, publiczność czytająca nic o nich nie wie, żadnego udziału w nich nie bierze.

Nasuwa się wprost uwaga, że gdyby nie Tuwima wiersz „Do generałów”, przygodni dyskutanci nie mieliby poprostu... tematu.

Wobec największego „błuzniercy” naszych czasów, autora „Zmór”, zastosowano po prostu metodę „todtschweigen”. Z drugiej strony jakkolwiek entuzjazm patriotyczny nie ma w naszej powieści, liryce, krytyce żadnego istotnego powodzenia. Od szeregu lat istnieje natomiast moda na pewien, szczególnego rodzaju „entuzjazm społeczny”, przeżytkowy liberalizm nastawiony całą duszą na walkę o ideały... Francuskiej Rewolucji. Do tej kategorii zaliczyć by się dało właśnie sporo czołowych dzieł naszej epoki. Poprostu szereg znakomitych skądinąd pisarek i pisarzy (tych pierwszych przede wszystkim) uchodzi w własnej i cudzej opinii na nastawionych „lewicowo”, jednak z całą umiarkowaną powściągliwością dla tego wszystko, co się w życiu zbiorowym dzieje.

Ci nie krytykują, brzoń Boże! Ale zamykają się literacko w skorupach, w familiach, w pokoiach, w duszach, przysiadają fałdów nad subtelna analizą, subtelna metaforyką swoich dziwnych oryginalnych utworów psychologicznych, wobec wszelkiej zewnętrzności demonstrując swoją „splendid isolation”.

Gdy jeszcze na dodatek czołowy krytyk wyróżni o tych dziełach swój zawily, talmudyczny komentarz, pełen „przekrojów” i „plaszczyn”, gdy pocnie analizę analizować, metaforykę przewietlać, wtedy zwyklemu czytelnikowi robi się już całkiem „laurowo i ciemno”. I nie dziw, że musi dla odetchnienia skoczyć na chwilę do... „Pana Tadeusza”, by się tam napić, nadszycieś wyczerpany. A jeśli nie do arcydzieł, to w każdym razie do... Orł-Greya i Baxtera.

Cóż więc dziwnego, że gdy pisarze mówią wtedy o upadku czytelnictwa, gdy krytycy filozofują, czytelnikowi ciśnie się na usta straszny zarzut o... upadku literatury. Słyszysz się dziś takie sądy, nie w krytyce, nie z katedry, właśnie — w środowisku czytelników. Czytelnicy są na ogół w sądach o literaturze bojaźliwi, nieśmiali. Ale dziś — chyba czują, że mają rację. Czują, że nie jest „w porządku”, gdy na półkach księgarskich brak literatury, brak książek, w którychby znalazła odbicie nasza epoka. W których znalazłby odbicie ten człowiek, który dziś, jutro ma iść, walczyć, choćby przyszło... „na śmierć po kolei...”

Książek, przed którymi stawałby olśniony, jak przed

owym czarodziejskim zwierciadłem, które ukazywało znalazcy, co ma robić. Książek, które by uczyły nie skomplikowanych a jakie często niepotrzebnych, nieistotnych spraw, a tych możliwie prostych: jak żyć w gromadzie, jak za nią umierać.

Nie być banalnym a przecież o tym pisać, taka jest chyba dziś droga do historii literatury. A równocześnie do tej ważniejszej historii, do której książka dostaje się — w żołnierskim tornistrze.

B. W.

Z NASZEGO STANOWISKA

Deus ex machina czy wojna?

Jest rzeczą zrozumiałą, że uwaga ludzka jest napięta i że wszyscy zadają sobie wciąż pytanie: jak się to wszystko skończy? Jakie będzie wyjście z obecnej sytuacji? W jaki sposób rozwił się dziś lub jutro ta intryga, zadziergnięta w czasie poprzednich aktów na scenie dziejowej?

Jeśli mamy być szczerzy — rozwiązanie widzimy tylko dwójakiego rodzaju. Pierwsze z nich — to wojna. Niezależnie od tego, że wszystkie swoje sukcesy Hitler odniósł dotąd bez bitwy — cała działalność Narod.-Socializmu skierowana była dotąd ku przygotowywaniu wojny.

O wojnie, która „zwycięskimi razami miecza” ma doprowadzić do zdobycia nowych przestrzeni na Wschodzie, mówi „Mein Kampf”. Pod kątem widzenia potrzeb wojennych przeprowadza swój „Vierjahresplan” feldmarszałek Goering. Pod kątem widzenia wojny zmontowany został cały polityczny i gospodarczy ustroj Rzeszy. Jeśli więc kanclerz Hitler świadomie i konsekwentnie wypowiedział wszystkie litery alfabetu wojennego: a, b, c... aż do x i y włącznie — to należałoby oczekiwać, logicznie biorąc, wypowiedzenia i ostatniej litery — z.

Litera ta jednak dotąd jeszcze wypowiedziana nie została. Wojna dotąd jeszcze jakoś nie wybuchła. Co więcej — nie wybuchła w chwili, zdawałoby się do tego najkorzystniejszej. Jeśli najważniejszymi atutami III Rzeszy miały być i pozostały dotąd primo — zaskoczenie, a secundo — zdyskontowanie przewagi militarnej, tak wyrażonej po zdobyciu „arsenału czeskiego” — to dzisiaj czas pracuje najwyraźniej przeciwko Niemcom i sytuacja z dniem każdym staje się dla nich gorsza.

O żadnym zaskoczeniu nie może być już dziś mowy. Kanclerz Hitler przechwał się w swoim czasie, że „uderzył jak piorun, nagle i niespodziewanie”. W sprawach tego rodzaju słowa posiadają walor niewielki. Zaskoczenie mogłoby mieć miejsce, gdyby równocześnie z marszem na Pragę dywizje niemieckie uderzyły w nocy na Śląsk i na Poznańskie, gdyby armia niemiecka przez Szwajcarię starała się stworzyć sobie drogę do Francji, gdyby eskadry niemieckie odbyły nocny raid na Paryż i Londyn. Ale dzisiaj? Któż dzisiaj da się zaskoczyć? A już szczególnie my, co mamy tradycję zagończyków kresowych, owych panów Podbiepików „czujnych jak zóraw”, co trzymali ongiś straż na Dzikich Polach?

Z zaskoczenia więc wyjdą nicy. Niemniej jednak pozostaje faktem, że sytuacja jest skomplikowana i że p. Kanclerz w manewrował siebie w nielada matnie! Znajduje się on dziś jakgdyby w sytuacji owego witezia, co to jechał samotnie stepem, aż spotkał wreszcie na rozdrożu napis: „Naprawo jechać — śmierć znaleźć; na lewo jechać — ducha wyzongać!” I wybrał tu, człowieku, z tej alternatywy!...

Wyjście z sytuacji podobno musi się jednak znaleźć. Jednym z takich wyjść byłaby, jak stwierdziliśmy, wojna. Jak poucza nas historia — napięta tego rodzaju, co istniejące obecnie, rozładowały się — jak dotąd — wyłącznie przez wojnę. Jeśli jednak Niemcy przed wojną się cofną, to pozostałoby (logicznie biorąc) — rozwiązanie pokojowe.

Taki jednak wniosek byłby możliwy tylko wówczas, gdybyśmy mieli do czynienia z normalnym rządem, który w razie niepowodzenia mówi „trudno, nie udało się” i cofa się na „z góry upatrzone pozycje”. Ale rząd hitlerowski? Rząd dyktatorski i „dynamiczny”? Rząd, podobny do samochodu, który nie ma tylnego biegu? Rząd, który musi stać iść naprzód, który musi stać karmić masy sukcesami, który musi stać utrzymywać je w stanie hysterii i zbiorowego obłędu, gdyż to jest warunkiem jego trwałości i bytu?

Jakże się taki rząd może cofnąć, w jaki sposób może pójść na kompromis i na normalne, logiczne, ludzkie rozwiązanie? Zaiste, wmanewrowali pp. dyktatorzy siebie i swój naród w pułapkę! „Naprawo pójść — śmierć znaleźć”...

Sytuację, podobną do sytuacji Niemiec dzisiejszych, знаła bardzo dobrze tragedia klasyczna. Znała też i klasyczne rozwiązanie sytuacji, które normalnymi ludzkimi środkami rozwiązać nie można było. W punkcie kulminacyjnym tragicznego spłotu okoliczności zjawiał się nagle „deus ex machina” — i wąż gordyjski namietności, sprzeczności, gniewu, rozpacz, pomyłek i zbrodni zostawał rozcięty.

Szczerze mówiąc — te tylko dwa wyjścia wydają się nam dziś możliwe.

CO INNI PISZA?

O „pseudoimperializmie” słów kilka

Istnieje w Polsce pewna kategoria ludzi, (osobiście b. sympatycznych i znacznych), którzy lubią nazywać siebie imperialistami polskimi. Roztaczane przez nich wizje przyszłego Imperium Polskiego są bardzo pojętne, tymbardziej, że towarzyszą im stałe pięknie i szlachetnie brzmiące słowa: „prometeizm” i „idea jagiellońska”.

Jak jednak wiadomo naszym czytelnikom — do działalności tych ludzi odnosiłm się zawsze z pewnym zastrzeżeniem. Zaniepokojenie nasze budzi fakt, że ludzie ci błądzą z reguły dość nieuczuli na krzywdy Polaków w Państwie Polskim, że niechęć i oburzenie budziły w nich wysiłki nad ekspansją polskości we wewnątrz Rzplitej i że byli oni zawsze ambasadorami krzywd cudzych.

Na temat tego osobliwego „imperializmu” zamieszcza b. ciekawe uwagi p. Jerzy Drobniak w jednym z ostatnich numerów „Awangardy”. W artykule „O hermefrodytyzmie narodowym i pseudoimperializmie” pisze on m. in.

W „Kurierze Wileńskim” ukazał się niedawno artykuł niezwykle znamienny jako objaw zupełnie specyficznej psychologii. Wyrażał on ból i oburzenie z powodu niektórych odwetowych zarządzeń Polski w stosunku do mniejszości litewskich. „Gorzej bolały, bo niech to robi jakiś rząd, ale jeżeli mój” brzmiały słowa artykułu. Czyli, że gdy te same rzeczy albo gorsze spotykały i spotykają Polaków w Litwie, to czuła dusza była bardziej opancerzona, mniej się wstydziała. Rząd polski jej zdaniem nie powinien był ujawniać się za Polakami po wyczerpaniu innych środków w taki sposób, który wreszcie mógłby dać wynik.

W oczach takich ludzi jest to niemoralne. Serce ich boli w sposób nieznosny wobec cierpienia cudzego. O swojej krzywdzie narodowej, która była przecież powodem reakcji polskiej, zapominają zupełnie. W ogóle, brak u nich zawsze zdrowej, samej przez się rozumiejącej się reakcji na niebezpieczeństwo, albo krzywdę polskości. Typowi człowieka, którego tutaj charakteryzujemy, zawsze bliższy jest ból obcy, niż ból własny rodaków. W reakcji polskiej widzi w pierwszym rzędzie krzywdę obcego i w tę krzywdę się wczuwa. Czyni to do tego stopnia, iż miejsca na odczucie krzywdy polskiej już nie znajduje. Polacy i ich cierpienia są na dalszym planie.

Ludzie i grupy tego rodzaju dziwnie dwoiste wykazują oblicze. Taki np. „Kurier Wileński” czuje się nieslychanie dotknięty, gdy władze polskie wysiedlają z pasa pogranicznego ludzkie, których działalność władze te uważają — oczywiście nie bez powodu, — za niebezpieczną dla Państwa Polskiego i rozpoczynają w ich obronę całą kampanię. Fakt, że ujmuje się de facto w ten sposób za agitatorami antypolskimi, jakoś nie dochodzi do świadomości autorów tej kampanii.

W przytoczonym powyżej artykule „Kuriera Wileńskiego” znajduje się jeszcze jedno zdanie tak charakterystyczne dla psychologii pewnych ludzi w Polsce, iż zasługuje na dokładniejsze rozpatrzenie. Mowa w nim o pokoleniu, któreby „za nic nie potrafiło i nie chciało odmierzyć, ile kto z nas ma uncji krwi litewskiej, białoruskiej czy polskiej”.

Zwracamy uwagę na drobny pozornie szczegół: w polskim piśmie krew polską wymienia się na ostatnim miejscu. Rzecz jednak główną zawieramy w pytaniu: cóż to znaczy, jeżeli ktoś „nie chce odmierzyć, ile ma w sobie uncji krwi litewskiej, białoruskiej czy polskiej”? Otóż człowiek, który stoi na takim stanowisku, w istocie nie należy do żadnego narodu. Jaż jego jest najwyraźniej rozbita. Czuje on w sobie walkę krwi. Nie jest to ani Polak, ani Rusin, ani Litwin.

Sko-ro już o tym mowa, powiedzmy otwarcie, że w całej Europie niema prawie narodu i ludzi, którzy nie mieliby w sobie krwi rozmaitych szczepów.

Każdy człowiek stapia w sobie wszystkie pierwiastki dostatecznie pokrewne, tak, iż jeden dominuje bezapelacyjnie, surawiając, iż jest się albo Polakiem, albo Niemcem, albo Litwinem. W podobny sposób w każdym człowieku istnieje pierwiastek żeński i męski. A jednak jest się albo mężczyzną, albo kobietą. Jeden pierwiastek podporządkowuje sobie drugi i nadaje jednolity charakter całości. Hermafrodytyzm płciowy jest zjawiskiem nienormalnym i chorobliwym. Tak samo nienormalnym zjawiskiem jest hermafrodytyzm narodowy.

Istnieją w Polsce ludzie i grupy, chętne nazywające siebie imperialistami polskimi.

Imperializm polski? Bardzo słusznie, ale kto jest imperialistą, ten musi wprawę wypiechnąć w sobie do ostatniej komórki skością mózg i serce. Kwestia imperializmu jest przede wszystkim zagadnieniem wymiarowania najdokładniejszego i najmocniejszego nie tylko materialnego i zbrojnej siły, ale również podstawy psychicznej i narodowej. Kto jest imperialistą, ten musi postępować i myśleć na daleką metę, musi w pierwszym rzędzie przygotować naród do możliwości ekspansji, wykuć mocno jego zwartość i jednolitość pod każdym względem.

Tymczasem u nas rzecz dziwna, najwięcej zachowują się jak imperialiści ludzie bardzo niecierpliwi, którzy zupełnie nie umieją rozłożyć na trzeźwo kolejności zadań i zdradzają podejrzaną nerwowość. Przede wszystkim nie myślą oni zupełnie o konieczności bezkompromisowego wzmocnienia masy narodu polskiego w państwie polskim. Imperializm bowiem nie może być nigdy mechanicznym imperializmem jakiegoś tworu państwowego bez duszy i bez charakteru. Imperializm jest tylko wtedy uzasadniony, i może prowadzić do wzmocnienia potęgi, o ile oparty jest o niewzruszoną podstawę wielkiej, jednolitej i wyraźnej masy jakiegoś narodu, o jego wypracowaną dokładnie i niedwuznacznie świadomość i myśl narodową, i o ile rozporządza narodem i państwem jednolitym i świetnie zorganizowanym. Tylko pod tym warunkiem dany naród się w swoim imperializmie nie zagubi. W przeciwnym razie nie zdola on utrzymać tego, co opowiadał, albo nie posiadając dostatecznie silnej masy i trzonu świadomości narodowej, zaniecnie się rozplynąć i rozkładać w obcej masie podobnie, jak kiedyś Mongołowie rozplynęli się

w Chinach, albo średniowieczne państwo litewskie zgubiło swoją litewskowość w masie ruskiej i kulturze polskiej, dziś dopiero z trudem odradzając się na swoim terytorium etnograficznym.

Pierwszym etapem nie tylko imperializmu, ale trwałej aktywności w polityce zagranicznej będzie ochrona, wzmocnienie i rozwój żywiołu narodowego polskiego w jego własnym państwie, wytworzenie duchowego monolitu polskości i zdolności do szybkiej, twardej i czysto polskiej reakcji. Skoro nawet płynie w niektórych grupach ludności domieszka krwi innej, krew ta wtopić się musi całkowicie w krew polską do tego stopnia, iżby nawet na najczulsze odczyny tylko po polsku reagowała. Inne reakcje winny być jej zupełnie obce i niezrozumiałe, tak jak już dzisiaj niezrozumiałe i obce są reakcje niektórych mieszkańców psychicznych czysto polskiemu trzonowi ludności.

Dzisiaj rzeczywistego prądu imperialistycznego w Polsce nie ma. I w gruncie rzeczy te prądy, które mogą i będą rozwijać kiedyś imperializm polski, muszą dzisiaj zwrócić cały swój wysiłek właśnie na umocnienie podstawy nie tylko materialnej ale i psychicznej narodu polskiego. Te tęsknoty, które się u pewnych ludzi w Polsce gdzieś ku Ukrainie albo ku Litwie pojawiają i które oni sami chętnie nazywają polskim imperializmem, nie są, niestety, żadnym imperializmem.

RADIO

Zwycięstwo radia

Pojawiając się na horyzoncie, radio miało licznych przeciwników i to dwóch krancowo odmiennych rodzaj: ludzi prymitywnych, odnoszących się nieufnie do każdego nowego wynalazku i... intelektualistów, którzy z lekceważeniem oddali się do radia, jako stojącego rzekomo na nie dość wysokim poziomie.

Walka z pierwszą grupą przeciwników postępuje ciągle w miarę radiofonizacji kraju. Walka z grupą drugą jest już wygrana. Przyczyniła się do tego może najwięcej — sytuacja polityczna. Wyrafinowany krytyk, musiał przyznać, iż jeśli chodzi o szybkość informacji, radio bije prasę o kilka długości. Dziś, gdy wydarzenia zmieniają mapę Europy z dnia na dzień, szybkość dostarczania wiadomości jest najważniejszą zarówno dla prasy jak dla radia, lecz to ostatnie posiada olbrzymią przewagę techniczną. Jest to jakgdyby pismo, które znajduje się w rękach czytelników, nawet najdalejszych, z chwilą przygotowania materiału przez redakcję, przeskakując zawiłe procesy składania, druku, kolportażu itd.

Sluchając pilnie wiadomości radiowych, przeciwnicy tego nowego środka szerzenia wartości kulturalnych chcą nie chcą nieraz złapać kawałek koncertu lub odczytu, albo słuchowiska. Przekonało ich to, że jednak może programy radiowe nie są tak dalece poniżej ich poziomu umysłowego jak się im to narazie wydawało. Stopniowo radio zdobyło sobie te najbardziej oporną kategorię słuchaczy, trudniejszą znacznie do zadowolenia niż masy nieufnych wieśniaków, których do radia przekonywuje poprostu fakt iż działa ono i przynosi głos z dalekich miast.

Tak więc wiadomości radiowe stały się jakgdyby przynętą na którą łapie się nowych słuchaczy i przynają trzeba, że połów był bardzo udany. Powodzenie jego wyraża się nie tylko wzrostem liczby abonentów, lecz również wzrastającym autorytetem radia jako źródła informacji i jego większym zasięgiem nie tylko w najbliższych, ale i w najwęższych sferach, które do niedawna, nawet jeśli posiadały aparaty radiowe, pozostawiały ich użytek dzieciom.

Dziś tak nie jest i cała Polska, od dołu do góry, szuka w głośniku radiowym czegoś czego nie daje żaden prasowy — pełnego obrazu zarówno wydarzeń jak i dążeń stanowiących życie narodu.

MIEDZY WIERSZAMI

Husyci i Chasydzi

„Wieczór Warszawski” podaje następujący opis z życia ghetta żydowskiego:

„Do Oświęcimia przyjechał rabin cudotwórca z Bobowej Halberstam, w związku ze specjalnym zjazdem jego zwolenników urządzonego w tym mieście. Cudotwórcę witają na ulicach Oświęcimia tysiące zwolenników, zwanych „husytami”, którzy zalegli trasę przejazdu już o godz. 16. W czasie przejazdu rabina działy się na ulicach niesamowite sceny.”

W związku z tym należy oczekiwać, że w najbliższym czasie urządzą zjazd zwolennicy Jana Husa, zwani Chasydami.

Grzeczni warszawiacy a koncert Kiepury

Podczas transmitowanego przez radio koncertu Jana Kiepury na Starym Mieście reporter radiowy wyraził się w pewnym miejscu w następujący sposób:

„Tłok na całym rynku jest olbrzymi! Cała ulica Świętojańska i Wąski Dunaj są zapchane głowami ludzkimi!”

Jak wynika z tego — grzeczni warszawiacy, nie chcą powiększać niepotrzebnie tłoku, zostawili resztę członków ciała w domu.

Egipskie nieporozumienie

„Wieczór Warszawski” pod tytułem „Regulacja Nilu w powiecie kolbuszowskim” podaje następującą wiadomość

„RZESZÓW, 20.7. (Wa) Fundusz Pracy udzielił Powiatowemu Kolbuszowskiemu Związkowi Samorządowemu zapomogi w wysokości 10.000 zł. na roboty publiczne w związku z ostatnią powodzią, jaka miała miejsce na terenie powiatu kolbuszowskiego. Zapomoga ta ma być użyta na roboty publiczne w związku z regulacją częściową Nilu oraz na budowę dróg.”

Informacja ta, jak się dowiadujemy, nie odpowiada prawdzie. W rzeczywistości bowiem Fundusz Pracy udzielił zapomogi na regulację Amazonki w powiecie tarnopolskim.

Skomplikowane śledztwo

„Wieczór Warszawski” podaje następujący opis tragicznego wypadku:

NIENZANA KOBIETA ZGINĘŁA W WYPADKU MOTOCYKLOWYM

O 1-ej w nocy na wale Miedzeszyńskim wydarzyła się katastrofa motocyklowa. Na motocyklu prowadzonym przez 25-letniego studenta Politechniki Józefa Bubicza (Obrońców 3) jechała jakaś kobieta w wieku około 15 lat.

W pewnej chwili motocykl zarzucił na śliskim asfalcie i uderzył z olbrzymią siłą w słup latarni elektrycznej. Pasażerka uderzyła głową o słup i doznała pęknięcia podstawy czaszki. Ranną przewieziono do szpitala, gdzie wkrótce zmarła. Do tegoż szpitala przewieziono niefortunnego motocyklistę, który doznał jedynie ogólnych potłuceń. Policja prowadzi dochodzenie celem ustalenia nazwiska i adresu ofiary wypadku.

Na miejscu policji zapytaliśmy poprostu o to p. Bubicza.

